

# **BORYS**

**ALBO**

**JEDEN DZIEŃ LATA**

**MAŁGORZATA I.  
NIEMCZYŃSKA**

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2023  
© Małgorzata I. Niemczyńska, 2023

Opieka redakcyjna: Damian Strączek  
Korekta: Monika Karolczuk, Magdalena Koch  
Projekt okładki: Karolina Korbut  
Opracowanie graficzne i skład: Lucyna Sterczewska

Rozdział *Osiem* powstał przy wsparciu Programu „Kultura Odporna”  
Prezydenta Miasta Krakowa

 **Kraków**

ISBN 978-83-277-3428-0

MANDO  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200  
[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255  
e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: WYDAWNICZA • Kraków  
Publikację wydrukowano na papierze Artis cream 70g vol. 2.0

# DWANAŚCIE

Poza tym musiał zadzwonić. Szedł pospiesznie bulwarem wzdłuż morza, zostawiając na nim ślady dobrych butów. Chodnik przykrywała cienka warstwa piasku, plaża jak zawsze była całkiem pusta. Nie licząc mew. Niepotrzebnie wziął tę marynarkę, co z tego, że lniana, skoro mu tylko przeszkadza. Ciągle nosi ją w ręce, bo słońce tak grzeje. Na koszuli rysowały się już plamy potu, warto by ją zmienić, trochę się odświeżyć. Szeroką dłońią wytarł krople z czoła, przejechał po karku. Przerzedzone włosy nie chroniły czaszki, zaraz tu chyba dostanie udaru.

Kiepski to dzień, pomyślał, na załatwianie spraw po niemal całym mieście. W taki dzień jak dzisiaj chciałoby się raczej robić inne rzeczy. Jeść truskawki na balkonie, pić z butelki białe wino. Albo iść na spacer do pobliskiego parku, rzuć żdźbło, umówić się może z kimś miłym i ładnym.

Siedzieć na ławce?

Siedzieć na trawie.

Leżeć na trawie.

Leżeć na sobie nawzajem.

Borysa już pewnie szlag trafia. Nie uzgadniał z nim przerwy w pracy, bo wolał nie przeszkadzać, kiedy na całe przedpołudnie zamykał się w gabinecie. Zamierzał coś załatwić i wracać do biura. Zniknął na pięć godzin albo nawet więcej. Skąd

mógł wiedzieć, że nic nie będzie gotowe tak, jak się umawiał. Oszaleć można. Na nikim polegać. Się nie da.

Wpadnie do domu, po prostu zadzwoni. Zależało mu na tej robocie jak jasna cholera. Dałby naprawdę głupi pretekst do wypowiedzenia. Na szczęście niedawno podłączyli mu telefon. Odkąd się wyprowadził od Emmy, miał z tym wieczny problem. Prywatne numery w mieście wymagały nadal specjalnych pozwoleń, wcześniej musiał latać do budki przy poczcie. W jego kamienicy ktoś tam chyba jeszcze zdołał załatwić sobie zgodę, a może odziedziczył podłączenie w spadku, z nikim z sąsiadów nie utrzymywał jednak dostatecznie bliskich kontaktów, by bez skrępowania zawracać im głowę.

Skreślił z bulwaru w ulicę Piaseczną. Maszerował, podbiegał, maszerował znowu.

Znalazł to mieszkanie już dwa lata temu. Było w nim dość miejsca na jego zielniki i książki, skoroszyty z notatkami, kolekcję śrubokrętów i dzban pełen korków. Nie chciał się rozstawać z wędkami po dziadku, ona tego nigdy nie mogła zrozumieć. Sam przecież nie łowił, trzymał je tylko w jednej ze swych czterech szaf. Wśród skarpetek przetartych i tych całkiem nowych walały się spinacze i gumki recepturki. Razem z krawatami, szelkami, paskami. Obok popisanych ołówkiem podręczników z nieskończonych studiów, do których nie zaglądał od dziesięcioleci, wciąż zdatnych do użycia sznurówek wyjętych ze znoszonych butów czy puszek po kawie – najlepszych na gwoździe.

Każdy przedmiot oznaczał osobną historię albo czemuś służył. Rozbity budzik, osierocona przez pióro stalówka, model samolotu, resztki kleju w tubkach, fiołki z lekarstwami.

Na placu wpadł mu kiedyś w oko album z czarno-białymi zdjęciami obcej rodziny, więc kupił, położył na kredensie i czasem przeglądał. Nie wyrzucał słoika z końcówką scukrzonego miodu, bo choć wciąż zaopatrywał się w nowe, ten też przecież doje. I na pewno wróci jeszcze kiedyś do pożółkłych czasopism, pod których ciężarem uginały się półki. A półek w tym mieszkaniu to nie brakowało, wysokie okna dawały dużo światła, z sypialni nawet widział trochę wiecznie pustej plaży.

Tylko telefonu nie miał, musiał się nachodzić, zanim podłączyli. W końcu się doczekał, coś załatwić umiał.

A teraz prędszej.

Prędszej, prędszej, prędszej.

Przemierzał tę trasę już tysiące razy. Czas odbijał się tu echem po wąskich ulicach, ścierał tynk z fasad niewysokich kamienic, opadał na styrony bruk. Miasto trwało nie największe, stare i zniszczone. Turyści ich nie odwiedzali, wszyscy byli swoi, nawet jeśli nie znał się tu każdy z każdym. Przyzwyczajali się do reguł – nieważne, czy pisanych. Podporządkowali nakazom, respektowali zakazy, dbali o pozory.

Jeszcze tylko minie aptekę i sklep z wędlinami, skręci w lewo, tam, gdzie jest cukiernia. Normalnie by wstąpił, trochę poflirtował. Zezowata dziewczyna za ladą uśmiechała się zawsze na widok jego nieco już nalanej, ale jeszcze wciąż przystojnej na swój sposób twarzy. Kupował tam eklerki albo kruchą bezę, odwzajemniał się skwapliwie słodyczą za słodycz. Mówił coś miłego, czasem pożartował. Może zajrzy później, jak już zgasi pożar. Teraz ten telefon, telefon najważniejszy.

– Dzień dobry.

– A dzień dobry, dobry.

Nie wiedział nawet, kto to. Tylko się potknął od tego witania. Krawężniki w mieście od niepamiętnych czasów pozostawały nierówne, chociaż mieli je niby pilnie remontować. Dama w czerwonym jakby przystanęła, chyba chciała z nim sobie uciąć krótką pogawędkę, ale nie tym razem. Już był kroki za nią. Skądś ją znał, gdzieś już widział. Pamiętał ten siwy koczek, malinowa sukienka z czymś się kojarzyła, nie czas się jednak zastanawiać nad tym. Raz, dwa, trzy... Czwarta brama z prawej.

Schody na świeżo pobielonej klatce wiły się przed nim w stromej spirali. Dostał zadyszki, przeskakując po dwa stopnie. Przemknęło mu przez głowę, że trzeba by schudnąć. Albo to ten upał. Wolał taką wersję. Włosów miał wciąż mniej, kilogramów więcej: bilans się zgadzał, nie zniknie od razu. Warto mimo wszystko zbadać cholesterol, niepokoiła go też możliwość kataru. Wbrew pozorom latem nietrudno go złapać. Wchodzi się z ciepłego w zimne – i już załatwione. Lepiej dbać o siebie, lepiej być ostrożnym.

(Z błogością myślał jednak o ciastkach, ciasteczkach. Słono mu coś w ustach, to pewnie od potu, może bryzy z morza. Wstąpi, wstąpi do tej zezowatej małej, chciałby ją w końcu wyciągnąć na kawę. Tylko załatwi z Borysem, Borys go zrozumie. Jeśli wciąż jest zajęty, przekaże asyście. Szybki telefon i już będzie wolny).

Piętro drugie. Kluczy szukał w spodniach, znalazł w marynarce. Nieobecny wzrokiem omiół drzwi wejściowe. Powinien sobie sprawić tabliczkę z nazwiskiem. Chciał raz je wydrapać i wydrapał „Izaak”, a potem mu się chyba całkiem odechciało. Przekręcił klucz dwa razy, zawsze tak zamykał.

Pomimo pośpiechu otwierał ostrożnie, bo tuż za drzwiami postawił dawno temu radio, aby je w wolnej chwili zanieść do naprawy. Sam lubił modelarstwo i majsterkowanie w drewnie, elektronikę jednak zostawiał fachowcom. Naprzeciwko wejścia wisiało lustro w rzeźbionej ramie pomalowanej na złoto. Gdy wchodził do mieszkania, widział w nim swoją dość wysoką postać: mężczyzny około pięćdziesiątki. Niedbałego z klasą.

Ale zaraz, coś tutaj nie grało. Czy to możliwe, że pomylił wnętrza? Klucz przecież pasował. Drzwi zamknięte były tak, jak je zostawił, a jednak za nimi nie mógł stać odbiornik. Otworzyły się na oścież – nic ich nie wstrzymało. Zamiast swojej twarzy w lustrze, zobaczył powierzchnię w kolorze beżowym. Jaśniejszy prostokąt wskazywał wyraźnie, że jeszcze nie tak dawno coś na niej wisiało. Przekroczył próg. Podłoga skrzypnęła na wskroś po staremu. Przystanął i zdębiał.

Mieszkanie było puste.

To nie wyglądało na zwykły rabunek. To było totalne. Tkwił w przedpokoju, nie mogąc się ruszyć. Widziany stąd salon zdawał się przestronny. Nie dostrzegł w nim kompletnie nic. Gołe ściany, sufit, czysty parkiet – i tylko rozświetlone na nim kształty okien. Zostało mu powietrze gęste, zawiesiste, w odcieniu słomkowym od letniego żaru. Szyb nie przesłaniały już teraz firanki, zniknęły też zasłony w egzotyczne wzory, razem z nimi wyparowały karnisze, a nawet haki, na których wisiały.

Przez uchylone drzwi na balkon w kuchni usłyszał dzieci grające na podwórku w piłkę. Postąpił krok naprzód, obrócił się wokół własnej osi. Nic. Nie było brudu w kątach, choćby kilku małych paprochów czy śmieci, ani pajęczyny. Wziął

głęboki oddech, potem drugi i trzeci. Zamknął oczy, policzył do dziesięciu powoli, najwolniej jak umiał. Otworzył: to samo. Po prostu niemożliwe. Na sztywnych nogach, skrzypiąc, udał się na obchód.

Sypialnia, kuchnia, łazienka. Pusto, pusto, pusto. Wspomnieniem mebli i obrazów zostały tylko rysujące się na ścianach formy. Cztery kółka na podłodze po nogach od stołu, krótki drut bez ciężaru lampy sufitowej, parapet ze śladem zacieku po doniczkę. Kran sterczał z kafelków bez sensu, bo nie było wanny. Chętnie brał kąpiele w takie dni jak dzisiaj, choć w mieście trąbiono, by oszczędzać wodę. Lał chłodną wąż do połowy i kładł się z gazetą, owłosioną nogę opierając o krawędź. Poruszał palcami stopy, coś nucił. Przepadły też wysokie szklanki, z których sączył wtedy piwo (latem wolał jasne, a zimą – portera), oraz mała lodówka z zapasem butelek. Ulubiony ręcznik w prążki ulotnił się z nimi. Szare mydło, brzytwa, grzebień porzuciły go bez uprzedzenia, nie zostawiły listu ani nic w tym stylu. A najbardziej absurdalne wydawało się to, że ktoś chyba tu zamiótł. Posprzątał do czysta. Podkreślił tylko nicość w jej beczelnej krasie, a potem zamknął za sobą drzwi kluczem. Na dwa razy.

Izaak chodził coraz szybciej, jakby chciał rozchodzić wstrząs. Czuł gorąco nie do wytrzymania. Duszność. W lewej ręce wciąż miętosił lnianą marynarkę. Nie pamiętał już o telefonie, bo nie było o czym. Aparat wyparował razem ze stolikiem, stolik wraz z serwetą, a serweta z kurzem. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Buty stukały po nagim parkiecie, nagi parkiet jęczał. Szybciej, szybciej, szybciej. Do zawrotu głowy. Co to wszystko znaczy?



Poślizgnął się. Staął. Cisnął marynarką. Dzieci za oknem krzyczały do siebie, piłka odbijała się od ściany kamienicy. Jakby nic się nie zmieniło, było po staremu. Choć nie było przecież. We wszechrzeczy zachodziła nieskończona mnogość zdarzeń, w każdym przedmiocie trwał wewnętrzny ruch, a on dostał pustką po mordzie.

Nabrał znów powietrza najgłębiej jak umiał, wypuścił bezradnie, powstał jeszcze chwilę. Wyszedł z mieszkania, choć powinien z siebie.

\*\*\*

– Czy mógłbym, proszę panią, zadzwonić?

Patrzyła nieufnie, uchyliła drzwi tylko na kilka centymetrów. W ciągu dwóch lat, które mieszkał tutaj, widywał ją czasem na klatce schodowej. Wymieniali ukłony niewyraźnie, pod nosem, jakby dźwięk miał ich zgubić, sprowadzić lawinę. Nosiła głowę dumnie na indyczej szyi, na szarawe loczki zakładała siatkę. Jej brzydkie sukienki w kolorach ciemnoburych ożywić mogłaby nieco śliwkowa torebka, gdyby nie przyciskała jej ciągle nerwowo do pachy. Bliźniacze dni miały im bez związku, w oderwaniu i braku łączności. Dawał jej jakieś sześćdziesiąt pięć lat, chociaż ona pewnie i tak by nie wzięła. Żyli na tym samym pięttrze całkiem przypadkowo. Nic ich nie wiązało i nie miało związać.

– Czy pani coś widziała dzisiaj, słyszała coś może?

Był zdesperowany, łatwo nie odpuści. Zrudziały dzwonek u drzwi do jej mieszkania okazał się pierwszym, co przyszło mu do głowy, gdy ochłonął na tyle, na ile się dało. Błyszcziała

się na twarzy od potu i zdawała zaskoczona tym, że go ujrzała, choć może to złość w niej rosła, jakieś oburzenie. Indycza szyja lekko jej poczerwieniała, a lakierowane drzwi nie otwierały się szerzej nawet o milimetr.

– Czy pan imaginujesz sobie, że ja jestem ślepa? Albo głucha może? – wycodziła przez zęby dość piskliwym głosem. – Za kretynkę mnie pan bierzesz sobie?

– Skądże, skądże znowu.

– Jak kobieta samotna, to od razu nie widzi, nic a nic, od rana do wieczora, albo i nie słyszy nawet. Pewnie, plasteliny sobie do uszu napycham, na oczach ręce trzymam, świat nie jest dla takich.

– Ja chciałem konkretniej, konkretniej się spytać. Wyszło mi niezręcznie ze zdenerwowania. Czy ktoś się kręcił może przy moim mieszkaniu? Stała się rzecz straszna, było tu włamanie!

Uniosła brwi, rolując skórę czoła jak wytłuszczony pergamin. Miała potargane włosy, tym razem bez siatki, może po prostu nie zdążyła włożyć. On nadal stał na wycieracze, przebierając nogami, pewnie kiedyś od tych tupnięć popękają płytki. Mozaika na posadzce układała się w rozliczne pętle, coś jakby spłaszczone ósemki czy też symbole nieskończoności, zależy z której strony klatki spojrzeć. To nie była najgorsza kamienica w dzielnicy. W oknie koło schodów tkwiło nawet coś na kształt witrażu, i ledwie kilka szybek zostało w nim wybitych. Padało na nich teraz kolorowe światło.

– Pan raczysz żartować – prychnęła. Poczul kwaśny oddech. – Słyszałam tylko, jak żeś pan otwierał, wcześniej ani szmeru.

– A jednak, nie inaczej! Zostałem okradziony!

Drzwi drgnęły z cichym lamentem, prawie niezauważalnie, ale otwór poszerzył się o centymetr, być może półtora. Zobaczył wyraźniej jej drugi policzek, wydała mu się tak bardzo zgorzkniała. Widział to w każdym porze jej świecącej cery, lwiej zmarszczce między brwiami, opuchniętych oczach i czerwonych pajęczkach na skrzydełkach nosa. Uderzyło go to mimo wszystko, choć wytrącony z codzienności nie myślał w tej chwili o niczym innym, tylko o wymiecionym do czysta parkiecie. Panował nad sobą z coraz większym trudem. Głowa mu pękała, czuł, że zaraz oszaleje. Miał ochotę się rozplakać i równocześnie wybuchnąć śmiechem. Chciał się właśnie odwrócić, by biec dokądkolwiek, kiedy jej twarz niespodziewanie rozjaśnił perfidny uśmiezek.

– Możeś pan zasłużył.

No nie, tego już za wiele. Limit uprzejmości na to się wyczerpał. Pragnął teraz kopać, demolować, niszczyć. Gotów był wrzeszczeć i bić pięścią w ścianę. Za nic nie mógł sobie obecnie przypomnieć, dlaczego zachowywał się na ogół kulturalnie. Zacisnąłby szerokie dłonie na indyczej szyi, wbijając z całych sił kciuki w tętnice, zaczynał już to sobie wizualizować. Musiała mu chyba wyjść żyła na czole, bo sąsiadka otworzyła drzwi szeroko, po czym przesunęła się na bok, żeby go przepuścić. Zmrużyła przy tym oczy, jakby chciała mu się przypatrzeć uważniej, a nie bardzo mogła z braku okularów.

– Tu jest, w korytarzu.

Przełknął czający się już w gardle wybuch, wszedł zdecydowanym krokiem. Śmierdziało naftaliną. Numeru do Borysa rzecz jasna nie pamiętał, uświadomił to sobie, gdy tylko

zobaczył tarczę aparatu. Zwykle nie nosił ze sobą notesu, zostawił go chyba na sekretarzyku. Gwałtownie chwycił słuchawkę, po czym zastął w dziwnej pozie, bo absurd sytuacji uderzył go znówu.

Wiedział, że ona się gapi, nie spuszcza go z oka.

Pobłądził wzrokiem po tapecie w kiczowate róże, zatrzymał się przy ramie lustra, podobnej trochę do tej jego, złotej. Wcisnięta została za nią mała kartka z numerami na straż pożarną, pogotowie i policję. Zanotowano je spiczastym pismem osoby, która musiała się uczyć w szkole kaligrafii. Atrament był niebieski, a nie granatowy.

Policja, oczywiście, chyba całkiem zdurniał.

– No dalej, dalej, wykrczaj pan numer – usłyszał zza pleców.

– Dzwonię, dzwonię przecież! – zorientował się, że na nią krzyczy. – Czy mnie słyszać? Halo? – już mówił do sitka. Połączenie się rwało, dobiegły go trzaski. – Dzwonię z ulicy Brzegowej...

Krótki sygnał odpowiedział mu bezdusznie, zanim zdołał doprowadzić zdanie do finału. Błyskawicznie wykrczył numer jeszcze raz, nieustannie pod czujnym okiem gospodyni. Musiał się odwrócić do niej plecami, bo nie dawał sobie rady z poirytowaniem. „Uspokój się, uspokój” – szeptał sobie w duchu, napinając każdy mięsień, przygryzając wargi. Patrzył teraz we wnętrze pokoju, może mało grzecznie. Z sufitu zwisała tam klatka z kanarkiem. Ptak siedział na pręciku ośpały, leniwy.

– To jest pilna sprawa, ja z Brzegowej dzwonię, doszło do włamania – tym razem się spieszył. – Jak to? Jak to: mam przyjść? To jest tu, na miejscu, trzeba zabezpieczyć ślady. Halo? Mówię przecież...

Posypały się z niego sylaby bez składu. Odebrała chyba kolejna idiotka. Tłumaczył jej wyraźnie, co się tutaj stało, a ona go zbywała. Powtarzała w kółko, że to nic takiego, trwa stan wyjątkowy, są pilniejsze sprawy. On może, jeśli zechce, przyjść złożyć zeznanie, nie najlepszą wybrał porę, nie ma kogo przysłać. Jakby ją wybierał! Co też za kretynizm. Podała mu adres komisariatu w dzielnicy, choć znał go doskonale, wszyscy tutaj znali. Miasto nie należało do przesadnie wielkich, tym bardziej nie do wiary, co mu się przytrafiło dziś bez ostrzeżenia.

Okręcił kabel telefonu wokół palca tak mocno, że mało nie stracił w nim czucia. Kanarek wciąż się nie ruszał. Izaak się pocił. Sąsiadka patrzyła. Chciał podjąć kolejną rozpaczliwą próbę wyjaśnienia sytuacji, ale nie zdążył nawet zaczerpnąć powietrza. Przerywany sygnał zrobił „pik, pik”.

Najchętniej znowu wybrałby numer, to raczej jednak nie były zakłócenia, chyba że na linii relacji międzyludzkich. Kobieta się rozłączyła, podczas gdy on tkwił nadal w punkcie życia, do którego nigdy nie planował dotrzeć. Może ma halucynacje od tego gorąca? To musi być koszmar, zaraz się obudzi. Oszołomiony wciąż ścisnął słuchawkę – nie odkładał jej, ani nie próbował ponowić połączenia. Z paraliżu wyrwało go głośne prychnięcie.

– Nie stój pan tak jak słup soli.

Powoli odkręcił kabel ze zdętwiałego palca, odłożył słuchawkę na widełki delikatnie, jakby ją zrobiono z najcieńszej porcelany. Gdyby miał ściereczkę, pewnie by ją jeszcze wytarł z niewidzialnych pyłków. Przerywany sygnał zlekceważył te fakty i wciąż pikał mu w głowie, zgrał się jakoś z rytmem

pulsowania w jego skroni. Powinien sobie chyba kupić magnez, może to z niedoboru, warto go suplementować. Ona coś mówiła swym piskliwym głosem, Izaak widział, jak porusza wąskimi ustami, ale dźwięki docierały do niego teraz jak zza waty.

To nic, nic takiego. Pożegna się z nią jak dżentelmen i pójdzie na ten komisariat. Policja mu pomoże, na pewno uda się rozwikłać zagadkę, znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Odzyska przedmioty, złodzieje pójdą siedzieć.

– Proszę panią, ja dziękuję bardzo. Do widzenia pani, dobrego popołudnia.

– Piątka się należy.

Odruch, by rzucić jej się z łapami na indyczą szyję, był już łagodniejszy. Pogrzebał w kieszeni, podał jej monetę. Opuszczał mieszkanie sąsiadki z godnością. Kanarek nie drgnął do samego końca.

\* \* \*

Słońce kapało na dachy kamienic. W murach miasta coś się zdawało pulsować, jakby ukryte gdzieś wielkie serce pompowało w nie szarą krew. Za nimi działy się sprawy. Kłócono się i myto zęby, uprawiano miłość i gotowano obiady. Ludzie tyli, chudli, rośli i maleli. Czasem śnili. Ktoś podkradał komus szampon, czyjś autorytet był podkopywany. Mury skrywały sekrety, których nikt wcale nie palił się poznać.

Na podwórku dzieci już nie grały. Nawet one nie dawały rady przy takiej spiekocie. Zbiły się teraz w grupkę w najbardziej zacienionym kącie, pochylając się nad czymś, czego nie

mógł dojrzeć. W stanie świadomości tylko połowicznej, ogłupiały, zamyślony Izaak wyszedł z klatki tylną bramą, zamiast na ulicę. Już zawracał, by nie tracić czasu, kiedy się zaśmiały. Nie wiedział z czego, ale jakoś go to zatrzymało na króciutką chwilę.

Podwórko miało charakterystyczny, lekko stęchły zapach. Dolatywał z piwnic, w których zamieszkały koty. Jeden chudy biały w łąty otarł się właśnie o trzepak, po czym wsadził postrzępione wąsy do walających się w pobliżu puszek, a nie znalazłszy tam niczego, zniknął w prostokątnym otworze tuż nad samą ziemią. Jego czarny koleżka wylegiwał się próżniacko na poobijanym śmietniku. Ktoś ustawił obok połamaną ławkę, chyba w nadziei, że ją wywiozą razem z odpadkami, ale najwyraźniej została uznana za wciąż funkcjonalną. Dzieci wspinały się na nią czasami, by zajrzeć do okien – kiedy z innych okien akurat nie patrzyły matki.

Było ich siedmioro. Śniady grubas stał jako jedyny, pozostali kucali, klęczeli lub siedzieli na ziemi. Chłopak górował nad nimi jak herszt jakiejś bandy, miał twarz zadowoloną, choć się nie uśmiechał. Brzuch opinała mu biała koszulka bez rękawów poplamiona tłuszczem, z kieszeni coś sterczało, to mogła być proca.

Uwagę przyciągała też dziewczynka w błękitnej sukience, trochę zbyt odświętnej na takie zabawy. Jej brązowe włosy pasmami rozjaśniło słońce, dla równowagi przyciemniając skórę. Opaloną małą rączką przyciskała do siebie całkiem gołą lalkę.

Reszta towarzystwa była raczej potargana, z zadrapaniami na kolanach i łokciach. Żyli, widać, pełnią beztroskiego życia. Porzucona piłka leżała metr od nich.

Izaak zdumiał się trochę, że już wyrósł z tego grona. Nie tak dawno jeździł patykiem po wilgotnej od deszczu ziemi, podważając napotkane ślimaki, a potem przykładał je koleżankom do buzi. Dopiero co podkradał papierosy, pluł na odległość i śmigał na hulajnodze, lubił się bić i brudzić. Kolana miał tak samo poobcierane od łażenia po drzewach, odrywał strupki paznokciami, by wydobyć kroplę jasnoczerwonej krwi. Gdy dziadek przyuważył, przyciskał mu wacik z jodyną, co okropnie piekło, ale nie opierniczał go nigdy. Kręcił tylko głową, łagodnie wzdychając. Wiedział, jakie są zasady chłopięcego świata, sam zapewne robił identycznie. Ani razu nie odmówił mu za karę naleśników z truskawkami na obiad.

Teraz mężczyzna poczuł się intruzem, nikt go tu nie prosił. Na podwórku odbywał się jakiś inicjacyjny rytuał, a jemu nie przysługiwało prawo do wtajemniczenia, bo ukończył już dzieciństwo. Wiek go wykluczał, poza tym się spieszył – przypomniał sobie nieznacznie zdziwiony, że siedł na komisariat.

Chciał się już zabierać, gdy chłopiec, który siedział tyłem po turecku, wstał. Wydawał się najniższy i najchudszy z bandy, miał zmierzwione czarne włosy, proste ubranie, dziecięce sandałki. Odwrócił się w zwolnionym tempie i spojrzał mu w oczy, jego źrenice połyskiwały zielono w bardzo bladej twarzy. Zaczął się śmiać gwałtownie, diabolicznie, jakby właśnie wynurzył się z piekiel.

Był przerażający.

Pomimo upału przyprawił go o gęsią skórkę. Skurcz żołądka. Migotanie przedsionków. Na ułamek sekundy kosmos się zatrzymał.



Pozostali jednak nie zwrócili uwagi: nie widzieli w zachowaniu chłopca nic nadzwyczajnego, a może zdążyli się już przyzwyczaić, zajmowały ich ciekawsze sprawy. Nadal patrzyli w skupieniu na to tajemnicze „coś” na ziemi.

Izaak strzepnął z siebie nieprzyjemny dreszcz.

Poszedł stamtąd czym prędzej. A właściwie uciekł.

\* \* \*

Ostrze scyzoryka zanurzało się w pomarańczowej skórce. Owoce wyglądał na dojrzały, mięsisty i pachniał wprost obłędnie. Zaczęły mu pracować ślinianki, usłyszał pustkę w brzuchu. Na ciastka z wiadomych powodów nie poszedł, nie mówiąc o obiedzie. Siedział teraz na odrapanym krześle przy nie mniej sfatygowanym biurku, naprzeciwko policjanta zajętego cytrusem. Mundurowy był po chłopięcemu chudy i miał rysy twarzy dziecka, ale drobne zmarszczki wokół oczu i na czole zdradzały, że musiał już skończyć przynajmniej ze trzydziści lat. Niepozorny wygląd nadrabiał zachowaniem bliskim arogancji.

– Niech siada – nakazał mu przesadnie głośno.

Gdyby nie maszyna do pisania, która stała pomiędzy nimi na biurku, Izaak straciłby nadzieję, że złoży tu zeznania. Młodszy mężczyzna zrobił na pomarańczy dwa prostopadłe, okrężne nacięcia, po czym ją rozebrał, tworząc ze skórki cztery zgrabne łódki. Przez upały owoce bardzo podrożały, w sumie nic dziwnego, że tak się delectował. Przy jedzeniu zlizywał cieknący po opuszkach sok, nigdzie się nie spieszył. Czasu, aby mu się przyjrzeć, było pod dostatkiem.

Obracał pomarańczę w kościstych palcach o krótkich, nierówno przyciętych paznokciach, we wnętrzu prawej dłoni mały plaster chronił skaleczenie.

Pieprzyki na policzku układały mu się w romb, a na lewej skroni jaśniała różowawa blizna. I raczej nie musiał się zbyt często golić: krótkie włoski rosły mu kępkami tylko w paru miejscach, w większości na żuchwie.

Izaak się nim w końcu znudził, więc spojrzął na własne ręce, na których przywazył kilka nowych plamek wątrobowych. Nie ucieszył go ten widok, przeszedł zatem do oględzin wnętrza. Pokój na parterze był klaustrofobiczny i z kratami w oknie, brudnozielona farba popękała na ścianach, w prawym górnym rogu dostrzegł pajęczynę. Z szaf wysypywały się opasłe teczki, trochę też leżało w pudłach na podłodze, wśród nich stało drugie biurko, ale nikt przy nim teraz nie siedział. Od blatu odchodziła listwa, pomyślał, że dałoby się to łatwo podkleić. Na całe szczęście mieli tutaj chociaż wiatrak przy suficie, nareszcie trochę chłodniej. Można tak posiedzieć. Oby się tylko nie przeziębził, w końcu przyszedł zgrzany.

– Niech mówi – policjant rzucił *ad extremum*, wycierając dłoń o rachityczną pierś. Rozpięty kołnierzyk odsłonił łańcuszek, a na nim chyba krzyżyk. Mignął i się schował. – Jak nazwisko, imię? – zapytał, gdy składał scyzoryk.

– Izaak – powiedział Izaak.

Zrobił się nagle potwornie zmęczony. Wcześniejsze bieganie po upalnym mieście, gwałtowny szok i wzburzenie – to wszystko wyczerpało go do ostatniej kropli. Trwał teraz w jakimś przedziwnym stuporze. Wiatrak podwiewał lekko leżące

przed nim kartki, głaskał mu przyjemnie przerzedzone włosy. Popatrzył na swoje buty.

– Nazwisko jeszcze, pytam.

To były dobre buty, trochę nawet za drogie jak na jego kieszeń. Dziadek zawsze mu powtarzał: „Na butach nie oszczędzaj”, tyle mu przekazał. Kupił je nie tak dawno. Zrobiono je z cienkiej, jasnobrązowej skóry, sznurowane.

– Ja nic nie mam – powiedział płaczliwie.

– Niech się nie mazgai. Nie będę go uczył, jak ma być mężczyzną. Posiada dokument?

Dłoń, kieszeń, portfel.

– Tak, tak, proszę, proszę.

Policjant wkręcił kartkę w posłuszną maszynę, zaczął przepisywać dane. Stukał bez przesadnej wprawy, ale konsekwentnie.

– Jakie zgłasza zajście?

– Rabunek, włamanie... Zostałem okradziony.

– Gdzie dokładnie?

– No, u mnie, w mieszkaniu. Na Brzegowej, tak, na tej ulicy.

– Własnościowe?

– Nie, nie, wynajmuję.

– Znaczy nie u niego – stuk, stuk, stuk. – Czy przebywał w lokalu?

– Przyszedł, znaczy: przyszedłem później, było już po wszystkim. Zobaczyłem, co się stało, i...

– Kiedy?

– No, dzisiaj, dzisiaj.

– O której godzinie?

- Było po czternastej chyba. Tak dokładnie nie wiem.
- Jakie ślady włamania?
- Żadnych.

Stukanie ustało. Mundurowy podniósł głowę znad maszyny i spojrzał na niego zdumiony. Na chwilę stracił rezon. Przechesał palcami ciemnoblond włosy.

– Drzwi otwarte zostawia – bardziej stwierdził niż zapytał. – Drzwi otwarte zostawia, to niech się nie dziwi. Głowę teraz władzy zawraca.

– Zamknąłem na dwa razy, zawsze tak zamykam. I jak przyszedłem potem, wciąż było zamknięte.

Młody uśmiechnął się drwiąco. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy do pokoju ktoś wkroczył. Izaak miał drzwi za plecami, więc zobaczył ją jako drugi.

To była kobieta. Dojrzała, bujna, atrakcyjna. Policjant wyprężył się od razu jak jurny kogucik. Miała kasztanowe włosy ułożone w fale wzorem gwiazd filmowych. Cienka sukienka w kolorze butelkowej zieleni opinała jej ciasno pośladki, co pomimo dramatycznych wydarzeń w życiu przesłuchiwanego nie umknęło też jego uwadze. Przyniosła ze sobą zapach ciepłego karmelu i przyprawy korzennej. Nic nie powiedziała. Podeszła tylko do szafki pod oknem, chwilę pogrzebała, wyjęła jakieś akta i, wsunąwszy je sobie pod pachę, oddaliła się ospale, kołysząc biodrami. Przcisnęła się koło nich dwa razy – idąc w jedną, potem w drugą stronę – i nawet nie spojrzała. Pozostali dla niej całkiem niewidzialni.

– Niech nie gada głupot – po jej wyjściu stróż prawa stał się na powrót chełpliwy. – Żadnego rozporządzenia o konfiskatach nie było, my byśmy wiedzieli, to już nie te czasy.

– Kiedy tak to wyglądało – Izaakowi zadrżał podbródek. – Ja nic nie poradzę. Zostawiłem wszystko rano tak samo jak zawsze, wracam po południu, a tam nic, nic nie ma, parkiet wymieciony.

– Czysty parkiet to nie koniec świata. Powiedziałbym nawet, że tak być powinno.

– Ale dywan zniknął!

– Dobra, to jest konkret – wrócił do stukania. – Ukradziono dywan. Wartościowy chociaż?

– Nie wiem.

Stukanie znów ustało. Tym razem funkcjonariusz popatrzył ze zniecierpliwieniem.

– Był tam już na miejscu, kiedy wynająłem – Izaak powiedział to prawie, jakby go przeproszał. Znowu się pocił, chociaż wiatrak działał. Pomarańczowa skórka drażniła mu nozdrza.

– Czyli nie jego rzeczy zginęły. I ktoś klucz miał ewidentnie. Może rachunków nie płacił? Właściciel przyszedł, zabrał, co było, jako rekompensatę.

– Płacił... płaciłem – zaczynał się czuć winny. – Tam było bardzo, bardzo wiele rzeczy. Większość była moja, własna. Całe moje życie w tych przedmiotach było. Przeszłość cała. Dorobek, tak się mówi?

– To może żona. Ma żonę?

– Kiedyś, już dość dawno temu – wspomnienie Emmy ukłuło go niemiło.

Policjant westchnął, zmierzył go karcącym wzrokiem. Znowu mówił donośnie, choć dzieliła ich szerokość biurka.

– Dam mu pouczenie. Niech się lepiej zastanowi, przyjdzie, jak przemyśli sprawę, bo to zeznanie jakieś niekompletne.

My nie mamy czasu, jak się nie wie samemu, co właściwie zaszło. Niech nie zapomina, że wciąż trwa stan wyjątkowy, są pilniejsze sprawy. Na włamanie mi to wcale nie wygląda.

– Ale tam nic nie ma... – próbował protestować smutno.

Policjant już go nie słuchał. Z korytarza dobiegł ich niski kobiecy głos ze zmysłową chrypką, spieszyło mu się, widać, do jego właścicielki. Ponaglił przesłuchiwanego ruchem głowy. Zgarnął jeszcze władczy ruchem skórki pomarańczy, ale nie wyrzucił ich do kubła w kącie, tylko niespodziewanie schował do szuflady.

\* \* \*

Świat pachniał mokrym psem. Po ulicy Pańskiej, przy której mieścił się komisariat, przejechała właśnie polewaczka. Coraz rzadszy widok w mieście, wszystko przez to całe oszczędzanie wody. Izaak zawisł nad krawężnikiem, nie wiedząc, czy ma pójść w prawo, czy w lewo. Po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się wózek z watą cukrową, skośnooki sprzedawca popatrzył na niego ze słabą nadzieją.

Prawie zapomniał o swoim głodzie. Żołądek mu się skurczył i przestał zgłaszać pretensje. Kula słońca stoczyła się już niżej, mogła być siedemnasta. Tak się spieszył rano, że nie zabrał zegarka. Przypomniał sobie własnoręcznie zmajstrowaną z sosnowego drewna kasetkę, w której trzymał cążki, maść tygrysią, plastry i inne podręczne drobiazgi, a przed snem wrzucał też do niej czasomierz z kremową tarczą na wytartym brązowym pasku. Stała na szafce nocnej (tę kupił używaną, „odnawiał” od roku). Robił to odruchowo co wieczór,

kiedy kładł się spać – i pomyślał w tej chwili, że już więcej nie zrobi.

Sprzedawca wyraźnie liczył na niego, bo poza nimi ulica połyskiwała pustką. Pewnie przed chwilą zwinął się z placu, w dzień roboczy o tej porze życie tam powoli zaczynało wymierać. Tak, to wciąż był dzień roboczy, a Izaaka dziś w tej robocie nie było. Właściwie wcale. Jest szansa, że jeszcze zastanie Borysa, może wyrzwał już z gabinetu, trzeba by pójść w prawo. W zasadzie po tym, co się dzisiaj stało, mógłby całą swoją nieobecność zwalić na włamanie. Włamanie bez włamania, czy jak to tam nazwać. Bardzo dobry pomysł. Do biura ma stąd pieszko kilkanaście minut, jeśli złapie tramwaj, uwinie się szybciej. Wyprostował się na nowo gotów do działania. A potem pomyślał: „Co to wszystko zmieni?”

Niespiesznie zbliżył się do wózka z watą, by zamówić porcję. Żółta, płaska twarz sprzedawcy od razu się rozpromieniła, zgiął się w płytkim ukłonie i dorzucił mu gratis frazy o pogodzie. Izaak dostrzegł na jego palcach różowe plamy, ciekawe od czego. Nie spytał. Przeżuł kilka kęsów, zrobiło mu się mdło. Pożegnawszy się, skręcił w lewo. Szedł krokiem spacerowym, nucąc beztrzesko modną ostatnimi czasy piosenkę o toksycznej miłości, przyczepiła się jakoś do niego. Za kolejnym rogiem wyrzucił watę do ulicznego kosza. Miał ochotę na coś lepszego. Jednak znowu był głodny.

\*\*\*

Stary Miguel zwiijał pasiastą markizę, nie przestając się przy tym serdecznie uśmiechać. Do każdego klienta mówił „przyjacielu” – i każdy klient wierzył w szczerść jego słowa. Twarz miał głąboko pooraną zmarszczkami, w kącikach oczu bruzdy układały mu się w jasne pióropusze. Słońce wgryzło się w niego prawie do cieniutkich kości. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się aż tak opalił i zakonserwował solą. Lubił z tego żartować – z każdym, kto chciał słuchać. Jego tawerna mieściła się na uboczu, sto metrów od wiecznie pustej plaży, ale wciąż trafiało tutaj stosunkowo wielu.

Izaak kończył flądrę pieczoną na ruszcie. Była wysmienita. Białe wino trochę cierpkie, lecz dobrze schłodzone. Siedział sam na tarasie w plecionym fotelu przy stoliku nakrytym obrusem w niebiesko-białą kratę. Upał odpuszczał powoli, jak każdego wieczoru. Gdy zapadnie zmrok, nagrzana rzeczywistość zacznie oddawać ciepło nienachalnie. Ten moment lubił najbardziej.

Miguel zabrał mu talerz i od razu rzucił głowę flądry dwóm łysawym kotom, kręcącym się cierpliwie w bezpiecznej odległości.

– A deser, przyjacielu? Cora zrobiła dzisiaj pyszny placek.

Uśmiechnął się, pokręcił głową, wata dość go zasłodziła. Nie chciało mu się już mówić, zrywać też się nie zamierzał, na szczęście starzec dolał mu wina. Zostanie jeszcze trochę, nogi mu się zgrzały: buty były dobre, ale nie na tę pogodę. Siedzenie zdało mu się sensownym zajęciem. Do godziny policyjnej jeszcze mnóstwo czasu.



Przypomniał sobie, jak dziś wrzasnął na sąsiadkę. Głupio trochę, nieprzyjemnie. Może ją przeprosić? Nie była przecież winna całej sytuacji. Tak już miał, że czasem wybuchał, a potem się wstydził. Na policji z kolei aż się skulił w sobie, dał się upokorzyć. Reakcja na mundur, chyba dość powszechna. I ten upiorny dzieciak na podwórku. Powinien iść do kardiologa sprawdzić, czy nie dostał przez niego cichego zawału. Co za dziwny dzień.

Koło tarasu rósł ładny okaz szarańczyny strąkowego, trzymał jego liście w jednym ze swoich straconych zielników. Robił je od dziecka, od dziecka też majsterkował, ale dowody przepadły. Co do najmniejszego.

Rozparł się, rozejrzał bez pośpiechu, szeroką dłońią przejechał po karku. Następnie pacnął żółtego komara, który przysiadł mu na przedramieniu. I jakby wpadł po tym na jakiś pomysł, wyjął z kieszeni wszystko, co w nich miał schowane.

Bilon nosił luźno, nie zostało go wiele (piątka za telefon, potem tamta wata). Spojrzał na klucze. Ciekawe, czy zamknął drzwi do zupełnie pustego mieszkania. Znowu się uśmiechnął. Pewnie zrobił to z przyzwyczajenia, machinalnie i bezmyślnie, rzecz jasna na dwa razy. Był też blister z ostatnią tabletką aspiryny, zmięty bilet tramwajowy, skasowany, a także muszelka podniesiona dziś rano. Wystarczył mu rzut oka na sfatygowany portfel, a już wiedział, że zostawił na komisariacie dokument. Przyjął to ze spokojem. Tożsamości pozbawił się sam. Nie potrzebował do tego złodzieja.

Ten portfel dostał od Emmy, błyszczał i pachniał wtedy świeżo wyprawioną skórą. Między nimi wszystko wydawało się kiedyś tak świeże. Całowała go, lekko przygryzając wargi,

a on nie był dłużny. Zostawiał jej coś na szyi i liścik za barem. Tamte czasy wydawały się dziś prehistorią, ze starego ładu nic już nie zostało. Izaak nadal nie dowierzał, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. Nie nazwałby siebie może ideałem – zapominał o urodzinach, na kolacje przy świecach się spóźniał i nie za bardzo chciał też mieć dzieci – ale przecież kochał. Szkoda o tym myśleć. Szkoda, szkoda, szkoda.

Zaczął przeglądać zawartość portfela. Gdy zapłaci za kolację z winem, w banknotach też mu dużo nie zostanie. Trzymał trochę oszczędności w banku, ale bez dokumentu ich nie wypłaci. Spróbuje go odzyskać jutro, unikając – w miarę możliwości – tego aroganta. Pójdzie na przykład do tej miłej pani, która dziś miała zieloną sukienkę. Większa część pieniędzy i tak przepadła razem ze skarpetą, w której chował je niemądrze, staroświeckim zwyczajem. Starokawalerskim może. Kawalera z odzysku i z lekką nadwagą.

W portfelu znalazła się także wizytówka fryzjera, kwit z pralni i pożółkła karteczka w linie, na której sam polecił sobie kupić kawę. Nazwy leku ze złożonej na czworo recepty nie zdołał odszyfrować. Popatrzył na datę: i tak już nieważna. Z wąskiej kieszonki wygrzebał czarno-białą fotografię o ząbkowanych brzegach, zdążył już o niej kompletnie zapomnieć. Obraz wypłowieł, ktoś niewtajemniczony nic by nie rozpoznał, ale Izaak wiedział, że to wczesne zdjęcie dziadka. Ubrany w bermudy pozował na tle morza, patrząc w obiektyw z niezachwianą pewnością młodego człowieka, który w życiu postępował słusznie. Fotografia pochodziła jeszcze z czasów, gdy nie obowiązywał zakaz wchodzenia na plażę. Dzisiaj już mało kto je pamiętał.

Koty rzuciły się na siebie z jazgotem. Podział rybiej głowy jednak się nie powiódł.

– Poszły stąd zaraz! – wrzasnęła Cora przez okno kuchni. Była energiczną, pulchną Mulatką o szerokim nosie i mądrym spojrzeniu, którą – mimo znacznej różnicy wieku – z właścicielem tawerny łączyły chyba nie tylko interesy. Na potwierdzenie tych podejrzeń z zaplecza dały się słyszeć chichoty.

Izaak ułożył przedmioty na kraciastym obrusie równo obok siebie. Widok nie należał raczej do krzepiących. Facet w jego wieku powinien mieć już willę, jacht, przynajmniej samochód. On nie miał bielizny na zmianę. Spoglądał na trochę papieru, metalu i skóry. Nie licząc muszelki – to właściwie wszystko. No i aspiryna. Tylko czy ona zmienia postać rzeczy?

Przyroda wokół cicho brzęczała, nic nie zapowiadało tego, co jednak zbliżało się nieuchronnie, by stać się po zmroku. On też nic nie wiedział, zero przeczuć czy choćby podejrzeń. W jego mikrokosmosie najbardziej zaskakująca rzecz już się wydarzyła, nie wpadłby na to, że coś zdoła ją przebić – i to jeszcze tej samej doby. Nieświadomy co za kilka godzin czeka całe miasto, uniósł głowę, pociągnął łyk wina.

Ścieżką wzdłuż tarasu przejeżdżała na rowerze szczupła, wyraźnie wysoka dziewczyna o krótkich jasnych włosach. Miała na sobie dopasowane rybaczki i koszulkę w paski, zatrzymała się na chwilę tuż przy nim. Zsiadła, poprawiła sobie coś przy bucie, po czym wskoczyła zgrabnie na siodło i pognała dalej. Wyglądała tak lekko, tak lekko, tak lekko.

Właśnie tak, pomyślał Izaak i znów się uśmiechnął, tym razem szeroko.

Lekko, lekko, lekko.

# SPIS ROZDZIAŁÓW

Dwanaście . . . . .	5
Jedenaście . . . . .	31
Dziesięć . . . . .	57
Dziewięć . . . . .	81
Osiem . . . . .	103
Siedem . . . . .	127
Sześć . . . . .	153
Pięć . . . . .	179
Cztery . . . . .	205
Trzy . . . . .	229
Dwa . . . . .	253
Jeden . . . . .	285